Ner 3. Kraków, 20go Stycznia. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

WIARA I NARODOWOŚĆ,

przez

J. dra RYMARKIEWICZA,

Inspektora gimnazyum katolickiego w Poznaniu.

(Ciąg dalszy).

Zwiazek między Wiarą a Narodowością oczywisty, albowiem jednocześnie i wszędzie obie te potęgi na jednakich narodowych powstawały początkach, w nierozdzielnej ciągle ze sobą rozwijały się jedności, i do jednakowego obie zawsze wymierzone są końca.

Z rodzin, rodów i szczepów wykluwają się narody. Zrazu cały naród złożony embryonicznie, między bliźniakami swemi w łonie plemienia swego, nie poczuwa się do swej jedności przyrodzonej, i niezmierza do ściągania się w osobną całość; owszem przeciwnie rozpiera, rozstrzeliwa się rodzinami pojedyńczemi po wolnej przestrzeni, wypierając niejako pojedyńcze z kłębowatości swojej na zewnątrz członki.

W tej pracy rozradzania się znajduje się naród na stanowisku rodzinnego, patryarchalnego życia, na stanowisku czasów Lechowych, Odynowych, Abrahamowych itp Potęga, utrzymująca nieświadomie naonczas wszystkie jego atomy w jedności, niemoże zwać się jeszcze i właściwie narodowością, ale tylko *rodzimością.*

I otoż na tym nawet najpierwszym szczeblu narodowości, jeszcze nieocknionej, już, jak tęczę przymierza, widać na niebie ojczystem w związku wiarę z narodowością. Wszędzie, gdzie widzimy w starożytności, lub w średnich wiekach rozsiadujące się przyszłych narodów pierwotne rodziny i osady, widzimy zaraz pierwotny rodzimości z rodzimą wiarą ich węzeł. Ognisko rodzinne, jak dla narodowości tak i wszędzie, jest pierwszym też dla ojczystych bogów ołtarzem. Wiadoma, że w starożytności każda rodzina miała swoje wyłączne opiekuńcze bóstwa, które tyle znaczyły ostatecznie, co potęga rodzimości, najwyższa władza w rodzinie, co rodzina i dom ojczysty — bogi rodzinne *(lares)* stały zawsze u domowego ogniska. Takto już w starożytności, w samych początkach narodów widzimy nierozdzielny związek między narodowością a wiarą. Najściślejszy i najwidoczniejszy atoli jest on u Żydów, gdzie Jehovah bezpośrednio sam losami narodu kierował.

Niemniej widocznym związek ten jest w średnich wiekach u pierwotnych plemion germańskich i Słowian. I tu patrząc np. w mitologią słowiańską, od warstwy rodzinnych bożyszcz począwszy, widzimy jawne wiary z narodowością przymierze. Widzimy jak praojczyce nasi na łonie życia rodzinnego i rodowego, otoczeni byli rojem opiekuńczych bożyszcz najrozliczniejszych; jak nie było jednego kroku, jednego zakątka, jednego aktu w życiu rodzinnem; jak niebyło pomyślności ni przygody żadnej, którąby nie miała dla siebie osobnego bożka, którąby w bezpośrednim z wiarą nie zostawała związku. Radegast, Kupało, Żywie, czyli Dziewanna i wiele innych, wszakże nie co innego znaczą, jak zlanie się życia rodzinnego z ówczesną wiarą bałwochwalczą.

Rodzinność pierwotna w wiekach starożytnych postąpiła jeszcze na szczebel *rodowości*, t. j. na stopień potęgi koalicyjnej między rodzinami (patrycyat, rody etc.) i tak z rozszczepiającej stała się potęgą zespalającą.

Ze skonaniem atoli starożytnych a z poczęciem się średnich wieków, wywinęła się trzecia, przygotowawcza do narodowości potęga, którą *rodzimością* nazwać wypada. Jest to trzeci stopień potęgi społecznej, mocą której jednoczą się i zespalają już nietylko rodzeństwa i rody, ale ludy i szczepy. Na tem stanowisku zastały średnie wieki do zaistnienia ostatecznego sposobiące się narody. Widać i tu jak najwyraźniej narodowości z wiarą. Jak bowiem rodziny pojedyńcze, jak całe rody, tak i szczepy i ludy miały swoje bożyszcza osobne, miały swoją wiarę, przez którą swoje sprawy ludowe, społeczeńskie sprawowały.

W mitologii słowiańskiej wyraźną widzimy hierarchię bożyszcz rodzinnych, rodowych i ludowych; widzimy więc, że nietylko życie narodu, czyli narodowość, na tych trzech pierwotnych stopniach wyraźnie z wiarą było splecione, ale że całe znaczenie owych bogów ludowych, czyli szczepowych, rzeczywiście wartości nie miało innej, krom opieki n d narodowością.

Zjawiło się w końcu chrześciaństwo z niebiańską swoją miłością i z bliźnich braterstwem. Po za szranki ciasnej rodzinności, rodowości i rodzimości sięgnęło ono szerzej i dalej po bliźnich, po spólników. Jego treścią rozgrzane i oświecone pojedyńcze ludy i szczepy połączyły się ze sobą, i zatliło się w nich spólne rodzimości i osobistości uczucie, i powstały z nich pod egidą wiary narody. Od samych zawiązków więc, aż do rzeczywistego wyjawienia sie z plemiennej powszechności, *narodowość* ciągle w nierozdzielnym związku zostawała z *wiarą*, która jest jej tarczą, jej uświęceniem, jej bezustanną opiekunką, i dalszego jej przeznaczenia wróżbą!

Będąc na stopniach swych przedwstępnych już ściśle poprzeplatała się narodowość z zabobonami, z gusłami, z bałwochwalstwem, czyli z ówczesną wiarą narodu pogańską. Gdy zaś nastały czasy chrześciaństwa, wówczas mocą miłości, mocą braterstwa między bliźnimi, zatliło owoż chrześciaństwo iskrę powinowactwa i uosobiszczenia się nowych na świecie społeczności, to jest *narodów*.

Jak iskrą elektryczną, chrześciaństwem tknięte z rodowego powaśnienia naraz wstały szczepy pobratymcze w zgodzie, i jako *narody* do narodowego zabrały się bytu w braterstwie! Tu niemowlęce kroki na drodze przeznaczenia uczyło stawiać narody chrześciaństwo; ono się zajmowało ich wychowaniem, ono niemi kierowało po drodze dziejowej; ono namaszczało ich królów; ono zatliwało przy kościele pierwsze ogniska oświaty; ono przenikało wszystkie dziedziny życia narodowego, a samo na odwrót odbierało od narodowości szczególne upostaciowanie swoich obrzędów; unarodowiało się, uwydatniało się w swej myśli ogólnej w szczególny, narodowy sposób. Chrześciaństwo z narodowością w średnich wiekach jak najserdeczniej się kojarzyło; o tem nikt wątpić nie może, kto jakokolwiek z biegiem wieków średnich jest obeznany.

(Dok. nast.)

Krystyna,

Królowa szwedzka.

(Dokończenie).

Rubinkowski powiada, nie podając źródeł z których to czerpał, że Krystyna została katoliczką 1650 r., co przypadałoby na czas, w którym jeszcze siedziała na tronie, i czterema laty przed zrzeczeniem się władzy. Powiada teuże autor, że fortunę swoją legowała cesarzowi, królowi francuskiemu i regnantowi pruskiemu; że zakonów i szpitalów nie zapomniała i w tymże testamencie legowała Matce Przenajświętszej koronę i berło z napisem (inskrypcyą) łacińskim, który autor tak przepolszcza:

Tę wzgardziła koronę Krystyna dla ciebie,
Aby mogła zażywać lepszej nad nię w niebie.

Z inąd dowiadujemy się, że królowa szwedzka głównym swoim spadkobiercą uczyniła kardynała Azzolini; że bibliotekę po niej kupił papież Aleksander VIII. antyki i część jednę malowideł Odeschalchi, a drugą 1722 książę orleański. Zostawiła Krystyna po sobie kilka małych dzieł w rozmaitych: martwych i żywych językach, między innemi opis własnego życia w języku francuskim. Autentyczność wyszłych pod jej imieniem listów w 1762 r. nie jest udowodnioną. Miała też założyć akademią, zapewne w Rzymie.

Rubinkowski powiada, że taż królowa „prosiła ojca „ś. aby jak najskromniej była pochowana bez najmniej„szej pompy, ale ojciec ś. po królewsku splendide dał „ją pochować w watykanie ś. Piotra, gdzie tylko sami „papieże chowają się, i tylko dwiema paniom przywi„lej ten dany: jedna była Matylda, która kościołowi „królestwo darowała; a druga Krystyna, królowa szwedz„ka, sama siebie oddała.“

W żywocie królowej Krystyny było nie mało sprzeczności. Była dumną i wielkoduszną, otwartą i łagodną, i znowu próżną i niemiłosierną, mściwą i maskującą się. Mimo wielkiej znajomości ludzi i świata, mimo wielkiej świadomości rzeczy i ich stosunków, mimo bystrości i przenikliwości rozumu, knuwywała niedorzeczne plany, wdawała się w alchimistyczne, astrologiczne i inne bałamuctwa.

To wszystko da się najłatwlej i jednem pociągnięciem pióra wyjaśnić, skoro powiemy za Fryxell-em (dodatki do szwedzkiej historyi), „że jej się czasami mięszały zmysły.“

Lecz, ponieważ to mieszanie się zmysłów, nie było najpierwszą przyczyną jej działań, więc za tę poczytujemy jej wychowanie i dalszy kierunek życia z niego płynący. Zaiste wychowanie męzkie nie może byś stósownem i zbawiennem dla płci pięknej, która wprawdzie tyle a czasem i więcej hartu potrzebuje, co męzka, aby czoło stawić burzom życia i przeprzeć je; ale która wszelako raczej biernem niż czynnem męztwem pokonywa przeciwności. Prawda, że niewieście tak samo potrzeba jasnego rozumu, jak mężczyźnie; lecz i to prawda, że gdy rozum w głąb idący, lub, żebym go stósowniej nazwal, świdrujący, prowadzi go do rozwikłania, to taki rozum niewiastę tylko coraz bardziej wikła we wszystkich jej stosunkach.

Prawda, że niewiasta, równie jak mężczyzna potrzebuje stałego serca; ale ztąd nie wynika, aby się pozbyła serca czułego, właśnie dla tego, że nic jej tak pewnie nie prowadzi do stałości, jak czułość, bez której kobietę nie już mężną nazywamy, ale o niej twierdzimy, że jest bez serca. Zniewoleni byliśmy po sumiennej rozwadze oświadczyć się przeciw temu, aby płeć piękną wychowywano po męzku, chociaż i tutaj jak wszędzie jesteśmy za wychowaniem niewieściem najtroskliwszem, najwyżej posuniętem, i wszystkie jej władze, stósownie do prawdziwie pięknego i szczytnego zarazem jej przeznaczenia, harmonijnie rozwijającem i potęgującem. Nie bylibyśmy przeciw akademiom dla płci pięknej; lecz jesteśmy przeciwni uczęszczaniu tejże do uniwersytetów istnących już i urządzonych dla dojżrewającej męzkiej młodzieży.

(1.)

PIEŚNI HAJNEGO.

DO MOJEJ MATKI.

(Sonet).

Dziki to szał był, gdy cię opuściłem
Matko! — po świecie, po całym chodziłem
Szukać miłości, zobaczyć gdzie ona,
I miłość miłośnie objąć w me ramiona.

I po ulicach miłości szukałem,
U drzwi, jak żebrak, ręce wyciągałem,
Żebrząc o serce takie, które kocha —
Dali nienawiść mi i śmiechu trocha.

I wciąż chodziłem i szukałem przecie,
I nieznalazłem miłości na świecie;
Wróciłem chory; smutek w oczach miałem.

Lecz... tyś naprzeciw mnie szła, matko miła!
I łza, co drżąca w twych oczach świeciła—
To była miłość, której tak szukałem!

Pieśni Miłości.

W pachnące róże, bez i cyprys dumny
Chciałbym ozdobić tę książeczkę ładnie,
Tak, jak umarłych ozdabia się trumny —
I pokłaść w trumnie me piosenki na dnie.

Gdybym i miłość mógł pogrzebać z niemi!...
To na tym grobie, choć dla innych może,
Wykwitłby kiedyś kwiat spokoju z ziemi.
Dla mnie zakwitnie, gdy w grób się położę.

Ot leżą pieśni, co — jak lawa wrząca,
Gdy z Etny bucha — z piersi mej się lały,
Z głębiny piersi, gdy była gorąca,
Błyskały skrami, jak gwiazdy migały.

A teraz leżą, jak umarli w ziemi,
Jako mgły białe zimno i grobowo;
Lecz gdy miłości duch stanie nad niemi,
Pieśni ożyją, zapłoną na nowo.

Ja mam przeczucie, że znów kiedyś stanie
Ten duch miłości mojej po nad niemi,
Że ta książeczka kiedyś się dostanie
W rączki twe, luba! gdzieś w dalekiej ziemi.

Zaklętych pieśni wstanie tłum uroczy,
Martwe litery ożyją radośnie,
I będą z prośbą patrzały w twe oczy,
I szeptać o mnie z tęsknotą, żałośnie.

M. Bałucki.

NA MORZU.

Z najnowszych podróży.

(Dokończenie).

Kapitan Robinson przechodził się po pokładzie. Kołysanie okrętu było tak wielkie, że co chwila musiał się zatrzymywać na pokładzie, aby nie upaść. Woda z morza i woda z nieba lały się na oślizły pomost. Stanął wreszcie, i wzrokiem dumnym a upartym patrząc przed siebie, zdawał się stawiać harde czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Dotąd niebyło zapewne tak bliskiego niebezpieczeństwa. Jonasz silnie zbudowany przebył nie jedną już okropniejszą burzę; majtków było dosyć, a wszystko to ludzie obżyci z morzem, pełni siły i energii; ale było coś w ołowianej barwie nieba, w przyspieszonym biegu fal morskich, i w posępnym nawet poświście wiatru, co zdawało się zwiastować burzę niezwykłą, bliską, uraganową. Wszystkie te wróżby widział dobrze kapitan Robinson; ale postanowił nie ustępować kroku, i nie zwrócić się z kierunku, w którym się już raz puścił.

W południe mgła tak była gęsta, że, jakby w nocy, nic przed sobą widzieć nie można było. Postanowił więc odpocząć na chwilę, i właśnie zbliżał się do schodów, gdy go zatrzymała Murzynka.

— Kapitanie! — rzekła do niego — moja panienka nie może znieść tego okropnego kołysania; dusi się w kajucie.

Kapitan wszedł do niej, i zastał dziewczynę skuloną na sofie, bladą, przerażoną, ze łzami w oczach.

— Cóż panie?... czy chcesz, żebym tu umarła. Na miłość Boga, wracajmy!.... Panie mnie słońca potrzeba.

— Jeszcze pięć dni tylko!.... daruj mi pani pięć dni, a ja dotrzymam słowa.

— Pięć dni! to bardzo wiele, gdy się cierpi., Ja tu jestem w więzieniu.

— Ta kajuta wydaje ci się pani więzieniem. Czegóż tu brakuje. Ja dziesięć lat ubierałem ją i stroiłem w to wszystko, czego mi dostarczyć mogły wszystkie pięć części świata. Chcesz pani, bym ci powiedział jaką zrazu miałem myśl, gdy się pani dostała na mój okręt. Ja bym był rad zatrzymać tu panią przez przeciąg całej wyprawy, która miała trwać dwa lata, i wozić panią z sobą po całym oceanie. Żegluga byłaby cudowna; cóżby mi brakowało; nieskończoność morza i nieba; widokrąg bez granic w koło mnie, a czasem, gdybyś pani pozwoliła, kilka chwil rozmowy tu z panią!..... Ale morze jest pani nieznośnem.

— Pan mię przyrzekłeś odwieźć do ojca!...

— I dotrzymam przyrzeczenia mego, ale pani nie odmówisz mi prośby mojej, i darujesz mi tych pięć dni. Gdybyś pani mogła wyjść na pokład, i mojem okiem popatrzyć na to morze pianą pokryte, a rozkołysane póki oko zajrzeć może; a przed nami te wieloryby skaczące pomiędzy bałwanami zapienionemi, tak, że się wydają podobnemi do stada owiec igrających po stepie niezmierzonym. Jest to widok cudowny dla tego, kto umie patrzeć i rozumieć te cuda!... A sama walka, czyliż nie ma swych wielkich powabów?... I po długich niebezpiecznych walkach dopiero odpoczynek na której z tych wysp uroczych pod słońcem zwrotnikowem, gdzie by można tak miło oddychać wonnem powietrzem, i marzyć pod cieniem palm zielonych.

— Tak! ja też o tę właśnie ziemię uroczą proszę i zaklinam!... tę mi pan wróć!... to moja ziemia!... jedyna, na której żyć mogę.

— Wrócę ci ją pani; powtarzam!... Ale jak pani porzucisz mój okręt, i wynidziesz na zawsze z tej kajuty małej, czyliż ja będę mógł już w niej mieszkać? O nie!... ona zostanie zamkniętą na zawsze!. . ja drzwi do niej zabić każę, by tu na zawsze zostało zamknięte wspomnienie o tobie!... Czy pani rozumiesz, co się w tej chwili dzieje ze mną!... pewnie nie pojmujesz jeszcze! pozwól, bym ci powiedział. W pośród niebezpieczeństw burzy rozhukanego morza, co cię pani strachem i grozą przejmuje, masz pani! w głębi serca swego schowany obrazek czarowny jakiejś doliny uroczej, gdzieś przepędziła swobodne lata dziecinne, i gdziebyś rada się przenieść jednej chwili laską jakiego czarodzieja. Owóż to wszystko, co panią tak dręczy, za czem pani płaczesz, co byś chciała mieć, co posiadasz tylko w wyobraźni swojej, ja — to mam tu w rzeczywistości. Na tym zimnem przestworzu, gdzie wieczne panują burze, i tylko dzikie uwijają się potwory, ja mam — tu w moim okręcie, w tej izdebce, świątynię błogosławioną, w której się mieści, co tylko przyroda mogła wydać najbardziej uroczego, czci i kochania godnego; mam młodą dziewicę bezbronną, bez opieki, oto-

czoną niebezpieczeństwem życia, którą wyratować ja właśnie miałem szczęście.

— Ciszej!... — przemówiła Murzynka, przykładając palce do ust — ciszej kapitanie!... moja panienka spi.

— Zasnęła!... — mruknął kapitan z przyciskiem lekkiej urazy. — Ale zapewne!... ona nie rozumie tych marzeń, co się snują po mojej głowie. W głowie młodej dziewczyny jedna tylko myśl na raz przeważać może. Teraz ją przejmuje miłość ziemi rodzinnej. A jak wróci do niej, przyjdzie inna miłość; potem przyjdzie miłość macierzyńska!... Prace, niepokoje, i wszystkie walki życia są dla nas mężczyzn!...

To rzekłszy, wyszedł na palcach, i wziął przed siebie kompas i mapy morskie. Według wszelkich wyrachowań przebyli już 65 stopień. W takiej porze puszczać się tak daleko było zuchwalstwem. Wieczorem upadł śnieg rzęsisty; a przez noc mróz się wzmógł tak dalece, że liny wszystkie zamarzły. Majtkowie zaczęli się mocno niepokoić, i mruczeli między sobą, obwiniając kapitana, że jak ślepy leci naprzeciw widocznej zguby. Nieukontentowanie wzmagało się co chwila; wszyscy mniej więcej byli tego zdania, że kapitan jako szaleniec postępuje, pogardzając wszelkiemi widocznemi oznakami nieochronnego niebezpieczeństwa.

Przed rankiem Irlandczyk, który stał przy sterze, zakrzyknął nagle. Oficer James poskoczył ku niemu.

— Co to jest?... — zapytał go.

— Widziałem go!... — odpowiedział Irlandczyk, blady jak chusta. — Jest tam za okrętem; to on nas popycha, i dla tego to Jonasz leci, jakby miał skrzydła.

— Śni się tobie!...

— Oj nie panie!.. to nie sen!.. ja go widziałem! patrzał na mnie i urągał mi się swą twarzą pozieleniałą i rozwaloną od wystrzału kapitanowskiego karabinka. Jesteśmy zgubieni!.. czy pan nie czujesz jak fale podrzucają okrętem?

— Każę cię zluzować!... — rzekł na to oficer.—Idź i spocznij!... Dwóch ludzi do steru!... — dodał.

Majtkowie porwali za ster; ale ich ręce drżały.

— Zimno wam, moi przyjaciele? — mówił do nich oficer.

Majtkowie nic nie odpowiedzieli, jęli tylko szeptać między sobą. Oni drżeli nie z zimna; ale ze strachu: bo się już rozeszło w całej załodze okrętowej, że widziano koło okrętu owego trupa niepogrzebionego, jak gonił za okrętem, i popychał go skurczonemi pięściami. Nikt go nie widział na własne oczy, ale wszyscy powtarzali, że się pojawił koło okrętu. Irlandczyk przyznawał, że gdy patrzał w morze, zakręciła mu się głowa, lecz niemniej pewną było rzeczą, że ten trup złowrogi pędził za okrętem razem z falami. Jednem słowem, postrach coraz większy ogarniał umysły majtków, i odbierał im odwagę i zastanowienie. Raniąc wystrzałem trupa, któremu odmówił pogrzebu, kapitan ściągnął na okręt i swoją osobę klątwę, którą tylko własną śmiercią odkląć może. Czyliż i drudzy mają z nim razem ginąć i odpokutować za jego grzech!—Takie było zdanie powszechne. Wiatr tymczasem dął coraz przeraźliwiej; wieloryby łyskawicą niknęły wśród bałwanów, a okręt strzałą gonił naprzód ku tym przestrzeniom lodowym, gdzie już żadnego nie będzie ratunku. Majtkowie najenergiczniejsi tracili odwagę, i widzieli fatalność nieuniknioną, wiszącą nad nimi. W dzień burza doszła do najwyższego stopnia; pościągano wszystkie żagle; wiatr gwizdał pomiędzy liny naprężone, a okręt szalonym leciał pędem rzucany niesfornie od bałwanu do bałwanu. Już było po czasie; wracać już niepodobna; żadna siła ludzka nie wstrzyma bieżącego okrętu. Cały dzień przeszedł w strachu, który co chwila wzmagał się i olbrzymiał aż do rozpaczy.

Kapitan Robinson stał milczący, i okiem osłupiałem patrzał na burzę żywiołów, i na majtków przerażonych. On doskonale pojmował te wszystkie myśli i uczucia złowrogie, jakie się burzyły w piersiach jego ludzi, a choć wyższy nad te wszystkie przesądy, niemniej ciężyła mu na sumieniu odpowiedzialność przed sobą samym za tych wszystkich, którzy pod jego byli rozkazami. Każde spojrzenie tych ludzi zdawało się mówić do niego:

— Mamyż wszyscy umierać za jednego?

V.

Przód okrętu nurzający się w bałwanach morskich pokrył się lodową powłoką. Ponad okrętem czwałującym naprzód w wściekłym pędzie latały ptaki, wydając krzyki złowrogie, jakby szydzić chciały z rozpaczy ludzi, którzy w tej chwili daliby wieczność i życia większą połowę za skrzydła ptaków, bo te by ich jedynie ratować mogły.

W tej chwili wybiegła Murzynka, i na głos wołała kapitana, by pospieszał do jej pani.

— Chodź pan!... chodź! moja panienka umiera, i to przez ciebie! bądź przeklęty!... za to, że nas wyciągnąłeś w te strony straszne i okropne.

Izabella siedziała drżąca i skulona.

— Jesteśmy zgubieni!... — przemówiła do wchodzącego kapitana. — Wszak prawda, że już niema ratunku.

— Wracać już niepodobna!... to już nie zależy od woli mojej. Lecz, czemuż niema tu ognia w piecu?...

— My nie umiemy grzać się przy ogniu piecowym!— odpowiedziała Murzynka.

Kapitan rozdmuchał ogień, i zabłysło kilka jaśniejszych płomyków.

— Masz pani parę promieni słonecznych.

— Niema już ich dla mnie!... i nie będzie! — odrzekła dziewczyna ze smutnym uśmiechem.

— Kto wie?... Wiele pani masz lat? piętnaście? szesnaście?...

— Moja pani będzie miała jutro lat szesnaście!.... To miał być dla niej dzień świąteczny.

— Szesnaście lat!... o mój Boże!... ja się pani muszę wydawać bardzo starym z mojemi czterdziestą laty i siwiejącemi włosami. Szesnaście lat. To ledwie początek życia, a ja jestem już przy końcu. Wałęsać się po morzu bez końca!... to nudzi chwilami; zostać na lądzie?... nie potrafiłbym. Słuchaj pani!.. może jest jeszcze jeden środek ratunku.

— Ratunku! — zakrzyknęła dziewczyna. — Czy to być może? Mówże kapitanie!

— Tak twierdzą!...

— I dla czegóż nie spróbować tego środka?

Kapitan spojrzał na nią. Promień nadziei wdarł się do serca biednej dziewczyny, i rumieńcem bladą twarz ożywił.

— Mów kapitanie! — ciągnęła dalej porwawszy go za ręce. — Przyrzeknij mi, że użyjesz wszystkich środków. Patrzaj! ja tak cierpię!... ja ze strachu oszaleję!... Nic nie mówisz!... więc to sposób tak trudny.

— Tak i nie!... — odpowiedział kapitan.

— Jak to pan rozumiesz? Ja się nie znam na tem, ale błagam cię wyratuj nas!... ja ci do nóg padam.

— Nie klękaj pani przedemną! ja tego niechcę!... pozwól tylko bym twoją rękę pocałował.

— Więc ten sposób jest tak trudny?... — nalegała dziewczyna.

— Jużem ci pani na to odpowiedział. Nie!... nie dawaj mi ręki do pocałowania; uściśnij mi tylko rękę. Teraz postanowienie moje jest niezmienne. Prędzej czy później, to na jedno wychodzi .. A więc ja pierwszy porzucę mój okręt!.... Bądź pani zdrowa!.... bądź zdrowa!...

— A wracaj pan jak najprędzej; nam tak straszno samym.

Stanąwszy na pokładzie, kapitan przestraszył się na widok morza. Burza była wściekła; przód okrętu zalany był cały bałwanami, które przelewały się przezeń, jeden po drugim. Wszyscy majtkowie schronili się na tył okrętu i tam stali w milczeniu rozpaczliwem, jako ludzie na śmierć przeznaczeni. Posinieli od zimna; zęby im dzwoniły, a woda z bałwanów pluskająca marzła na ich sukniach, na wąsach i brodach. Kapitan nagle stanął między nimi.

— Źle moi przyjaciele — rzekł do nich — jakaś fatalność nas prześladuje!.... co ty na to Irlandczyku, który częstokroć cienia się swego obawiasz?..

Irlandczyk podniósł głowę, i spojrzał kapitanowi oko w oko!...

— Co widziałem to widziałem!.... umarli tak się mszczą za krzywdy sobie wyrządzone, jak i żywi.

— Miałbym ochotę wypalić ci w ten pusty łeb twój, aby cię oduczyć takich odpowiedzi, ale szkoda naboju. Cóż wy drudzy na to?... czy umarli wracają?...

Nikt nie odpowiedział; huk tylko morza przeraźliwy i złowrogi zdawał się za nich odpowiadać.

— Panie James — rzekł znowu kapitan po chwili — pójdź do kajuty, aby zaspokoić biedną dziewczynę, którą wyratowałeś.

— Zdaje się prawdziwie — mówił dalej zwrócony do majtków — jakbyście nigdy burzy nie widzieli.

— Podobnej do tej, nigdy!... — rzekł z cicha jeden z najstarszych marynarzy.

— I ty stary zwaryowałeś; .. — wszystkim się wam we łbach przewróciło!... A więc!... któż się odważy rzucić mnie do morza?... A to przecie jedyny środek ratunku!... nieprawdaż?... tak myślicie wszyscy, tak szeptaliście między sobą!.... Czy myślicie, że ja nie słyszałem waszych szeptów i skarg!... Za nadto długo pływam po waszych morzach, aby nie znać waszych wszystkich głupich przesądów?... Ja dałem przyrzeczenie, którego teraz dotrzymać nie mogę. Połów mi się nie udał!... los mi jest przeciwny!... Dla czego? niewiem; ale czuję się zwyciężonym przez jakąś wyższą władzę. W waszych oczach jestem wyklęty!... nieprawdaż?... Ja jestem winny!... ja powinienem stać się ofiarą!...

Wszyscy pospuszczali głowy, słysząc słowa kapitana, tak dalece oddające wszystkie ich myśli i tajne zmowy.

— Lituję się nad wami!... — mówił kapitan dalej, i patrzał na nich zimno i pogardliwie. — Nie śmiecie spojrzyć śmierci w oczy, chociaż ona was codzień otacza, chociaż powinniście się byli od dawna do niej przyzwyczaić. Żal mi tej biednej dziewczyny zamkniętej tam w kajucie, która drży za każdem mocniejszem uderzeniem wałów morskich; żal mi nawet tej starej Murzynki, gotowej oddać życie za swoję panią. Ale wami, coście gorsi od baby starej, wami pogardzam. Jeżeli więc trzeba się dla kogo poświęcić, poświęcę się dla tego młodego dziewczęcia, które żyć pragnie... a i wy będziecie przytem wyratowani.

Ledwie skończył, jednym krokiem stanął na samej krawędzi i rzucił się głową na przód w tę przepaść rozhukaną i ryczącą, która się roztwarła, by jego połknąć. Krzyk przeraźliwy wydarł się mimowolnie ze wszystkich piersi. Młody oficer wypadł na ten krzyk z kajuty, szukając oczyma kapitana, który już był porwany.

— Gdzie jest kapitan?... — zawołał niespokojny.

— Tam!... — odpowiedzieli mu wskazując morze.

— Nieszczęśliwi! cóżeście uczynili?...

— Nic!... na duszę naszą! — odezwały się odpowiadające głosy. — Sam się rzucił z własnej woli!... Usłyszał głos tamtego wzywający.

— Mówcie prawdę! — zakrzyknął raz jeszcze młody oficer, porywając za siekierę okrętową. — Kto z was śmiał się go dotknąć?...

— Nikt się go nie dotknął, — odpowiedział ów najstarszy łowca wielorybów. On musiał zginąć, to prawda!... ale któżby z nas odważył się popełnić występek, kiedy dziś jeszcze wszyscy stanąć możem przed sądem Wszechmocnego.

— Więc ja teraz wami dowodzę!... — rzekł p. James, mierząc okiem niespokojnem tę przestrzeń morza spienioną, i niebo mgłami zasłonięte. Żądam od was posłuszeństwa!... Może nie wszystko zgubione!.... Czy widzicie tam na niebie to maleńkie pasmo rozjaśnione? . .

— Hurra!... — zawołali wszyscy majtkowie chórem radosnym, bo nowa nadzieja w nich wstąpiła.

— Cicho teraz!... — krzykami waszemi nie urągajcie temu, którego śmierci staliście się przyczyną przez wasze głupie przesądy.

— Może i głupie! .. — mruknął stary. — Ale to prawda przecie, że się burza uspakaja.

Jakoż ku wieczorowi znacznie się uspokoiło. Jeszcze morze piętrzyło się olbrzymiemi wałami; jeszcze okręt miotany wiatrem drżał cały w trzeszczących swych spojniach, ale nadzieja, ta boska pocieszycielka, która człowieka do grobu nie odstępuje, wstąpiła we wszystkie serce. Wszyscy wzięli się tem gorliwiej do roboty; udało się okręt zwrócić, i choć ciężko i powoli płynął napowrót statek skołatany. W sześć tygodni od dnia, gdy się kapitan Robinson rzucił w morze, wpłynął Jonasz do portu w Rio-Janejro.

W kilka dni później czytano w tamtejszej gazecie:

„Przypłynął do naszego portu Jonasz, statek amerykański, do łowienia wielorybów przeznaczony, i przywiózł młodą panienkę, należącą do najpierwszych rodzin tutejszych, którą był wyratował po rozbiciu Peruańskiego statku, wiozącego tę młodą panienkę. Jonasz przebył ogromne niebezpieczeństwa; porwany burzą leciał ku lodom bieguna południowego; jest mocno uszkodzony, i długiej wymagać będzie naprawy. Kapitan zaginął w czasie burzy, a młodszy oficer p. James Simpson z Baltimore, młody człowiek, bardzo dobrze urodzony i wychowany, oddał młodą dziewczynę w ręce bogatego ojca, który pełen serdecznej wdzięczności zaprasza młodego oficera do siebie, i wraz z córką przyjmuje go jak najlepiej. Majtkowie Jonasza rozpowiadają, jako kapitan stracił głowę z powodu, że mu się nie udał połów wielorybów, i że sam rzucił się w morze.“

Murzynka, jak jej przeczytano ten artykuł, ruszyła ramionami i rzekła:

— Kapitan Robinson dawno był niespełna rozumu. Pleótł nam najdziwniejsze androny w czasie burzy i huku bałwanów, jak gdybyśmy były na lądzie w spokojnym pokoju. Kochał się tak namiętnie w wielorybach, że byłby chętnie za niemi pogonił aż do środka ziemi. Mówiono także, że jakiś tam zły czyn popełnił, i że go duch jakiegoś nieboszczyka porwał ze sobą. Być może; ale ja wiem, co mu do reszty głowę zawróciło: oto, że moja panienka, zamiast słuchać jego pięknych słów, pro-

siła go najusilniej, by przyspieszył chwilę, w którejby mogła porzucić jego, jego statek, i jego wieloryby. — W trzy miesiące później Izabella została żoną młodego oficera, p. Jamesa Simpsona, który wszedł w służbę brazylijską.

KONIEC.

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

W tym tygodniu powiał jakiś wiatr wesoły (zkąd? nie wiemy), na dyrekcyę sceny tutejszej, w skutek czego zapewne obdarzyła nas tańcami, mającemi naśladować balet. I w rzeczy samej, była to imitacya baletu— nader smutna. Były wprawdzie wszystkie powierzchowne przybory baletowe: były skoki, podrygiwania tam i wstecz; podnoszenia nóg; stroje krótkie, lekkie, i doskonale przezroczyste – ale, nie było ani lekkości, ani gracyi baletowej. Pani *Żeromska*, siostra pani Bendowej, która występowała dwa razy, należała dawniej do choreograficznego instytutu w Warszawie, i jak twierdzą ludzie, co ją przed laty widzieli, miała należeć do lepszych członków tego baletu. Być to bardzo może. Chętnie byśmy byli jej wierzyli na słowo, bez tej nieudałej próby baletowej, którą nam pokazać chciała. We wszystkich ruchach widać już ociężałość ciała, mianowicie nóg, które ongi lekko po deskach stąpać mogły, ale którym dziś należy się już emerytura. Dosyć powiedzieć, że w jednym z tańców pani *Bendowa*, niemogąca mieć przecie pretensyi do sztuki choreograficznej, która z siostrą razem, za mężczyznę przebrana, wyskakiwała jakąś wcale niepolską' polkę, tańcowała lżej i lepiej. Dodamy w końcu, nie bawiąc się w przesadny rygoryzm, że tańcowanie wcale dziś nie jest na czasie. Uznała to większa część publiczności, bo teatr był dosyć skąpo zaludniony, a i ci, co byli, z widoczną przyjmowali obojętnością tańcującą, chociaż pewne stronnictwo miłośników tańca i trykotów *quand même*, czyniło co mogło, by najliczniejszą ściągnąć publiczność, i ją rozegrzać własnym zapałem.

P. *Jasiński* występował raz jeszcze na pożegnanie w *Ostatniej roli aktora*. Jest to komedya niemiecka, i cieszymy się nawet, że jest prawdziwie niemiecką. Mimo scen zajmujących, pozycyi komicznych, intrygi żywo prowadzonej, komedyi tej brakuje moralnej podstawy. Aktor, niemający utrzymania i posady, przybywa do miasta wraz z suflerem. który swój los i swoje manatki przyłączył do losu aktora. W kieszeni u nich bardzo krucho, więc rada jakby tu grosza wydobyć. Aktor wpada na koncept strasznie niemiecki, i wychodząc z zasady germańskiej, że pożądliwość nie jest żadnym grzechem, skoro ją dobry skutek uwieńczy, i że: *Beatus qui tenet*, jak mówił pan *Benet* (Benetów znakomita rodzina pruska); idzie do traktyerni, siada przy *table d' hôte*, tam udaje bogatego barona, tym sposobem zamydla oczy współbiesiadnikom, i gdy wchodzi sufler tam zamówiony, jako *armer reisender*, namawia ich do znacznej składki, którą, gdy się goście rozeszli, chowa najzimniejszą krwią w Europie do własnej kieszeni. Czegoś podobnego—możemy to sobie śmiało powiedzieć— nie uczyniłby żaden polski aktor. Aktor zostawszy baronem z własnej woli, pod tą nazwą wchodzi w nową intrygę, i bardzo sprytnie kojarzy małżeństwo dwojga młodych kochających się ludzi, wydobywszy ważny dokument majątkowy z ręki prawnika i lichwiarza; moralnie zatem kończy tę swoją ostatnią rolę odegraną w celu poczciwym. P. *Jasiński* grał tego aktora wybornie; wszystkie zalety jego talentu, o których już mówiliśmy dwakroć, zajaśniały najdobitniej w tej roli tem stósowniejszej dla tego artysty, że jako aktorowi nie pierwszej już przecie młodości, bywalcowi wiek dojrzalszy wcale nie zawadza. W dwóch mianowicie scenach p. Jasiński miał sposobność objawić swój piękny talent w jego wielostronnej objętości. Potrzeba intrygi wymaga, by raz udawał Francuza, drugi raz kręciarza prawnego. Obu oddaje z całem życiem, prawdą i naturalnością, i to nieprzebierając się wcale, zmienia tylko wyraz twarzy i gestikulacyę. Mianowicie Francuza udawał wybornie, do czego mu pomagał doskonały akcent prawdziwie paryski. W obu tych scenach mocno nam przypomniał *Levassora*, który tu przed kilką laty był w Krakowie. Jednem słowem, chcąc miłą po sobie zostawić pamiątkę, p. Jasiński doskonale wybrał rolę pożegnalną. Oklaski publiczności szczere i pełne zapału były prawdziwie nieskończone. Kilkakroć w końcu sztuki wywołany, pożegnał artysta publiczność krakowską kilką słowami czułemi, które ułożył w rymy. Rymy te poprawdzie powiedziawszy zepsuły efekt, bo zdradzały przygotowanie. Większe daleko wrażenie byłoby zrobiło pożegnanie prozą, bo by podobniejszem się wydało do chwilowej z serca pochodzącej improwizacyi. O grze innych artystów nie wiele się da powiedzieć, bo wszystkie inne role mniej więcej małej są wagi. Jedna jest tylko jeszcze mocno odznaczona rola subretki, zarozumiałej i rojącej sobie cudną przyszłość, do której ma jej pomódz głosik miły, którym wywodzi rozmaite trele. Jest to rolka tak wdzięczna, że tylko o to starać się trzeba, by ją umyślnie nie zepsuć. Tymczasem tej wcale nielatwej sztuki potrafiła dokazać pani *Bendowa*. Jak się zdaje, wzięła sobie za punkt honoru, by nigdy roli nie umieć, i postanowienia swego dotrzymuje jak najwierniej. Tym razem były też pauzy długie i nieznośne, z których sobie grająca nic nie robi wcale, jakby publiczność na żadne wcale nie zasługiwała uwzględnienie. To lekceważenie publiczności doszło tym razem do tego stopnia, że śpiewkę, którą miała odśpiewać, mimo znaków dyrektora orkiestry nie odśpiewała wcale. Odeszła sobie ze sceny, bo się jej tak podobało, z czego powstało takie dziwne zamieszanie, że ledwie je zamaskował p. *Wisłocki* grający *suflera* wcale dobrze, wpadając co rychlej w inną scenę. Pani Bendowa, mając za sobą powierzchowność dosyć wdzięczną, i niezły głosik do śpiewu, przezco mogłaby być scenie pożyteczną, powinnaby się raz przecie zastanowić, że pobłażanie ma swoją granicę, że się stronnictwo zwolenników najlepiej zorganizowane zużyje w końcu, i że nareszcie przeważy słuszne niezadowolenie powszechności.

Mieliśmy także jeden jeszcze koncert p. *Hausera*, bez którego bylibyśmy się bezpiecznie obejść mogli. Rodzaj talentu jego, o którym już mówiliśmy, nie jest dla nas sympatyczny. My lubimy prostotę, nie figielki jakieś; wielbimy sztukę nie sztuczki. Tym razem jak i pierwej artysta popisywał się z techniką swą, która, choć już ją do wysokiego stopnia doprowadził, ma u niego nieraz pewne dla ucha niekoniecznie przyjemne granice. Goniąc zanadto za efektem, zdarza mu się nieraz, co się zdarza śpiewakom fistularnym, że zadrapią ucho nieprzyjemną — by nie powiedzieć — fałszywą intonacyą. Przez kurtuazyę dla publiczności krakowskiej odegrał między innemi krakowiaka własnej kompozycyi. Była to mniej jak mierna kompozycya, w której nie było ani myśli polskiej, ani myśli muzykalnej. Teatr przez

oba ostatnie koncerta był przepełniony, mianowicie publicznością, którę w teatrze rzadko bardzo widujemy, publicznością kazimierskiej plutokracyi, co, obojętna na scenę narodową, zeszła się tylko, by podziwiać talent współwyznawcy.

Przy tym koncercie odegrano komedyę Fredry: *Damy i Huzary*. O komedyi niema co mówić; ale za to godzi się przyznać, że oddanie jej wypadło bardzo dobrze. Możnaby może powiedzieć — chcąc być bardzo surowym, że prócz p. *Królikowskiego*, który jak zawsze umie zachować w komice największej pewną miarę estetyczną, wszyscy karykaturowali nieco; ale po części sam autor temu winien, który już samą sztukę skarykaturował należycie, a wreszcie serdeczny śmiech publiczności dowodził najlepiej, że gra wszystkich grających podobała się żywością, wesołością i humorem. Zauważaliśmy przy rzęsistych oklaskach jakieś systematyczne potykania wcale nieprzyzwoite. Wątpimy, by te potykania pochodziły od tej części publiczności, która swe brawa chciała zachować dla koncercisty; tem więcej, żeśmy je nieraz już słyszeli. Potykującym zrobimy tę przyjacielską uwagę, że pominąwszy przyzwoitość, można czasem bardzo źle wyjść na takiem potykaniu, jak dowodzą dzieje wszystkich teatrów na świecie, z których potykujący, gdy ich dostrzeżono (co się przecie zdarzyć może): musieli się oddalić nie dobrowolnie, nie powoli, i nie koniecznie wygodnie.

Niebieskie rękawiczki.

(Powiastka jakich wiele).

(Ciąg dalszy).

Dopiero silnym głosem wymówione słowa:

— A spiochu przeklęty, cóż ty całe życie przeleżyć myślisz!... — obudziły mnie. Zerwałem się na równe nogi, przetarłem oczy, i kogóż to zobaczyłem przed sobą: poczciwego Antośka, szkolnego kolegę, a teraz zagrzebanego gdzieś na wsi w Karpatach i przyjeżdżającego tylko raz w rok na parę dni do Krakowa.

Rzuciliśmy się w objęcia, a wyściskawszy się należycie, jak to szkolnym kolegom przystoi, zaczęliśmy gawędzić. Po gawędce naturalnie przechadzka — więc gdzież — ha! dzień św. Stanisława, toć nigdzie indziej, jak na Skałkę.

Wstajemy, zabieramy się do wyjścia.

— Ale, ale — rzeknie Antoś do mnie — dobrze, że sobie przypomniałem, bo wiesz, trzeba mi przecież rękawiczek, jakże tak z gołemi rękami pójdę.

— Ha, słuszna uwaga — odpowiem — ale temu zaradzi się łatwo, w drugiej kamienicy mieszka rękawicznik, kupimy po drodze.

— Ej mój Michasiu, jak mnie kochasz, to ty mi ten sprawunek załatwisz, skocz na dół, weź numer 9ty, a ja tymczasem fajeczkę wypalę, bo widzisz, jakoś wejść bez rękawiczek do sklepu to... ten.. tam. . gotów sobie Mości dobrodzieju pomyślić, że człowiek nigdy w życiu na łapie rękawiczki nie miał.

Na tak silny argument nie było co odpowiedzieć, wziąłem kapelusz, ale niski, i pobiegłem do rękawicznika. — „Proszę o męzkie rękawiczki nr 9ty“ — „Jasne, ciemne?“ — „Tak, niby jasne, niby ciemne, zresztą jak tam pan uważasz, to mi wszystko jedno.“ — Rękawicznik wyszukał, zawinął w bibułkę i wręczył mi towar z wielką gracyą.

Biegnę do Antosia, oddaję mu sprawunek, on rozwija, rzuca rękawiczkami o ziemię, blednieje, zakrywa oczy rękami, przeciąga je po czole, jak kochanek sceniczny w tragedyi, a... wyciągnąwszy prawą nogę naprzód, żali się łkającym głosem:

— O zdrajco, cóżem ci zawinił?

— Antosiu, dla Boga, a cóż zrobiłem złego? — biorę go wpół i sadzam na sofie.

Po chwili przyszedł do siebie, westchnął i zaczął mi opowiadać historyę swojej pierwszej miłości, gdyż do spaceru najmniejszej już nie czuł ochoty — tę historyę powtarzam najwierniej, pod słowem honoru, jak'em Michał.

I.

Pan Antoni przyjeżdża do Krakowa na Uniwersytet. — Vis-á-vis. — Spostrzeżenia z za czerwonej firanki — Pierwsze westchnienie, pierwszy całus w powietrze. — Wiolenczela. — Bądź błogosławiona burzo.

Pan Antoni ukończywszy gimnazyum w pewnem obwodowem mieście Galicyi, został wysłanym przez swoją matkę, godną i kochającą nad wszystko swojego jedynaka matronę, na uniwersytet do Krakowa. Młodziutki, bo dwudziestoletni Antoś, z sercem przepełnionem rozkoszą wjeżdżał do starego grodu. Pierwsza to jego podróż. Od dzieciństwa nie był nigdy dalej, jak trzy mile od domu, a miasta nie widział większego, jak to, w którem dwanaście lat przesiedział na twardej ławie, pilnując książki i słuchając z wszelką atencyą wykładu i nauk profesorów. Co więcej, Antoś dopiero pierwszy raz uczuł się wolnym, że tak powiem niezawisłym człowiekiem. Bo gdy przez cały ciąg szkół wydziałowych i gimnazyalnych matka oddawała drogiego syna pod dozór guwernera, teraz dopiero pan Antoni, jako uczeń uniwersytetu, zdołał skruszyć te pęta, i namówić matkę, że go samego w świat puściła. Poczciwa matrona chciała koniecznie syna przynajmniej odwieść, ale jej nadwątlone zdrowie nie pozwoliło na to. Musiała pozostać w domu, a synalek z błogosławieństwem matki, z pięknym fundusikiem pieniężnym i dobremi radami wyruszył na nauki.

Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe do Krakowa spotkałem się z nim. Chodziliśmy razem przed kilku laty do jednej klasy. Był bardzo kontent, że mnie spotkał, bo nie mógł sobie, jak zazwyczaj każdy pieszczoch, dać rady. Trzeba i pomieszkania wyszukać i zapisać się na któryś z wydziałów uniwersyteckich, a tu poczciwiec nie pomyślał nawet czego się chciał uczyć, bo gdy się jegomości zapytałem: „na któryże ty wydział myślisz chodzić?“ — Wytrzeszczył na mnie swoje piękne niebieskie oczy i dopiero po chwili odrzekł powoli: „Na jaki?“ — „Naturalnie, na jaki, czy na medycynę, czy na prawo, czy na filozofię? — „Albo ja wiem“ — odpowiedział. Z tego już można poznać jaki to był nieporadny człowiek, i że na krok nie można go było samego puścić. Zająłem się nim gorliwie: wyszukałem mieszkanie, zgodziłem stół, praczkę, służącego etc., a instalowawszy pana Antoniego na nowem mieszkaniu, udałem się do moich zatrudnień, z przyrzeczeniem, że go dwa razy w tydzień odwiedzać będę.

Pokoik zamieszkały przez Antosia leżał na pierwszem piętrze, dwa dość duże okna wychodziły na obszerny i dość schludny podwórzec, u okien wisiały czerwone firanki, któremi ubrała pokój gospodyni, od której odwynajmował Antoś swoje mieszkanko.

Wprost okien jego pokoju na tak zwanym widermachu znajdywały się także dwa okna, które najprzód zwróciły uwagę pana Antoniego. I nic dziwnego; o zmroku, gdy chcąc odetchnąć świeżem powietrzem, zbliżył się do okna, musiał go uderzyć kontrast tych dwóch okien naprzeciwległych. Wyglądały obą jak świeżutko ubrana, kwitnąca dzieweczka, przy starej uróżowanej kokietce. I tak jedno z tych okien, przystrojone białemi jak śnieg firankami, wyglądało jak istna oranżerya, tyle tam rozmaitych wazonków z najwyczajniejszemi, a przecież jak najgustowniej ustawionemi kwiatami; w drugiem zaś ujrzałeś firankę, wprawdzie adamaszkową, ale szedłbyś w zakład że ta zasłona pochodzi z któregoś, już od dawna w gruzach leżącego zamku.

Oba te okna zafrapowały niezmiernie pana Antoniego, oba należały widocznie do jednego pomieszkania, gdyż światło bijące wieczorem dość silną łuną w jedno z tych dwóch okien oświecało zlekka z wnętrza i drugie okno — w jakimże stosunku są do siebie te trzy osoby mieszkające *vis-à-vis?* a było ich trzy. W oknie o adamaszkowej firance widział Antoś kobietę o pięknych wielkich oczach, wielkich lokach, potężnym nosie, a jeszcze potężniejszych zmarszczkach; a była ubrana to w czerwoną, to jasno-zieloną batyścikową sukienkę. Siedziała prawie cały dzień przy oknie, a trzymając w jednej ręce książkę, a w drugiej bukiet — to czytała, to wznosiła oczy ku niebu, a nareszcie rzucała przelotne spojrzenia po przeciwległych oknach.

Wszystko to obserwował pan Antoni z za czerwonej firanki, uzbroiwszy oczy niezłą lorynetką.

Drugą osobą był chłopczyk dziewięcioletni, a ukazujący się raz w tem, inny w drugiem oknie. Trzecią nareszcie osobą, a siedzącą po całych dniach przy oknie o bieluchnych firankach, była młodziuchna może siedmnastoletnia dziewczynka z ślicznemi bląd włosami a czarnemi jak węgiel oczętami i gęstemi, jak najkształtniejszy łuczek wyciągniętemi brwiami. Cóż tu dopiero mówić o nosku, najkształtniejszym, jaki mógł najkształtniejszą zdobić twarzyczkę, a o buzi, a ząbkach, a zresztą o wszystkiem... wszystko było cudne i piękne — tak przynajmniej widział pan Antoni. Piękną *vis à-vis* (jak odtąd będziemy nazywać piękną dziewczynkę), spostrzegł pan Antoni zaraz pierwszego dnia po zajęciu nowego mieszkania, ale nieśmiał z wrodzonej sobie nieśmiałości wychylić głowy za okno; podziwiał wdzięki — którym się nie mógł dosyć napatrzyć — tylko z za czerwonej firanki. A gdy się okno zamknęło i czarowna główka znikła, rzucił się Antoś na łóżko, zakrył twarz rękami i marzył. A każdy pojmie i zrozumie jakie to były marzenia, gdy się dowie, że Antosiowi dopiero pierwszy raz w życiu jakaś nowa nieznana struna w sercu zadźwięczała; ten dźwięk owładnął całe jego jestestwo i przeniósł go w krainę, w którą tylko raz jeden w życiu człowiek przenieść się może, i to na czas bardzo krótki.

Później co dnia stawał nasz bohater w oknie i wpatrywał się godzinami w twarzyczkę ubóstwianego *vis-à-vis.*

Tak przeminął miesiąc. Piękna nieznajoma zdawała się nawet niespostrzegać nieznajomego wielbiciela, gdyż nigdy nawet najobojętniejszym rzutem oka nie wynagrodziła jego wytrwałości. Główka, zwieszona nad jakąś robótką, podnosiła się bardzo rzadko, przecudne kwiaty nawet zaczęły schylać główki, gdyż im brakowało głównego żywiołu i wody — młoda pani o nich zapomniała.

Nareszcie pewnego wieczora, była godzina szósta, pan Antoni powrócił z wykładu i podług zwyczaju stanął przy oknie. Panienki *vis-à-vis* niebyło. Biedny *amorozo* stał nieruchomie z pół godziny i czekał.... Nagle zjawiła się, ale z tak rozpromienionem obliczem, taka radość malowała się w jej oczach, usteczka złożyły się tak rozkosznie do uśmiechu, iż zdawało się, że w jej sercu zamieszkało całe niebo szczęścia. Wyciągła rączkę i zrobiła dwa koła chusteczką w powietrzu, a rzuciwszy ślicznemi paluszkami całusek, ale to najwyraźniej w kierunku Antosia — zniknęła.

Antosiowi krew uderzyła do głowy, tysiące myśli w największym nieładzie zaczęły przeganiać się po jego głowinie, serce rosło mu w piersiach, biegał jak szalony po pokoju, to płakał, to śmiał się, nareszcie, znużony taką walką uczuć, rzucił się na łóżko.

Po chwili usłyszał nad sobą rzewne tony wiolenczeli, które go w sen ukołysały.

(C. d. n.)

Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, gospodarskie, przemysłowe itd.

O sposobie korzystania z czytania książek, rozprawa księdza Jana dra Chełmeckiego wyszła w Krakowie.

— *Hetmańskie Pacholę*, poemat Wincentego Pola wyszedł w Warszawie nakładem Celsa Lewickiego księgarni, która, założona niedawno, usiłowaniami swojemi dobrze się zasługuje ojczystej literaturze.

— *Jerzy Lubomirski*, dramat historyczny Józefa Szujskiego, wyszedł z drukarni zakł. nar. im. Ossolińskich we Lwowie nakładem księgarni Karola Wilda.

Zagrzebski *Pozor* daje radę Słowakom, by się nie odrywali od języka i literatury czeskiej, bo czesko-słowacka literatura byłaby własnością 7mio milionowego narodu. *Hlas* tę radę powtarza — Kto wie, że język słowacki jest daleko bliższym polskiego, niż czeskiego; kto wie, że ludowy język Morawianów prawie o tyle zbliża się do polskiego książkowego, o ile się oddala od czeskiego, mógłby Słowakom dać radę, aby przystąpili do literatury polskiej i dali przykład do podobnego czynu innym najbliższym pobratymcom.

Możnaby dzisiaj już nie samym Słowakom, lecz wszystkim Słowianom dać i inną radę, a może i praktyczniejszą — a to tę: aby każdy szczep starał się poznać języki i literatury, jeżeli nie wszystkich innych szczepów pobratymczych, to przynajmniej najkrewniejszych sobie duchem i sercem. Wiadomo, że języki słowiańskie dzielą się na dwa działy: A. i B.,—kto tylko jednego działu język zna, ten nie mógł pojąć żywotnych prawideł języka słowiańskiego w ogólności, a zatem i nie może władnąć doskonale językiem własnym. Tośmy tylko natrącili, i zostawiamy sobie wolność pomówienia o językach słowiańskich a raczej o słowiańskim języku (w idei) i słowiańskich narzeczach żyjących w obszerniejszej rozprawie, przystępnej dla większej publiczności.

D. 11go stycznia odbył się w Paryżu pierwszy zimowy koncert w konserwatoryum muzycznem. Koncerta dawane w tem konserwatoryum są sławne w całej Europie — tutaj to najdoskonalszą muzykę słyszeć można. Orkiestrę, którę składają sami profesorowie, prowadzi dyrektor opery komicznej *Tilmar*. Nadzwyczajnie trudno dostać się na koncert w konserwatoryum, bo wszystkie miejsca są zaabonowane i przekazywane dziedzicznie. Mimo usilnych starań prefekt Sekwany nie otrzymał dotąd abonamentu. Pewien starzec od 20 lat siada na jednem miejscu i w przeciągu tego czasu nie opuścił ani jednego koncertu.

D. 11go stycznia urządził w Grodziszczu (na Szląsku), tamtejszy nauczyciel *Drózd* zabawę na korzyść miejscowej biblioteki szkolnej. Gości powitały transparenta z napisem:

Oświatę rozszerzajmy,
O postęp się starajmy;
Dobro powszechne
Zawsze wspierajmy!

Uzbierano też piękną sumkę na zbawienny cel.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**